

## Posokowiec i przelatek w życie.

Działo się to w pierwszym roku kiedy mój posokowiec hanowerski zaczynał swoje liczne przygody lowieckie . Był gorący , niezwykle słoneczny sierpień roku pańskiego 2001. Zadzwoił budzik o 3,35. Nastawiony w telefonie komórkowym, który rzadko mnie zawodził. Kiedy zerwałem się na równe nogi , a sen wypłoszony melodią z „Ojca Chrzestnego” odszedł w niepamięć przecierałem szósty raz oczy. Na telefonie było 15 nieodebranych połączeń... Coś się stało w domu moich rodziców- pierwsze skojarzenie zwało mnie z nóg, aż usiadłem w fotelu który stał w pokoiku zajmowanym przez moją rodzinę w domu moich teściów . Moja mała, sześciomiesięczna córeczka poruszyła się w łóżeczku , a moja żona szepnęła przez sen „Kochanie , pada deszcz, wracaj do łóżka..” Wyjrzałem przez okno , jednocześnie sprawdzając upartego telefonistę... deszcz nie padał od dwóch tygodni, a nadawcą połączeń był mój szef, dobry, etyczny myśliwy. Popatrzyłem z czułością na żonę i córeczkę, i natychmiast zacząłem się ubierać jednocześnie odsłuchując wiadomość na poczcie głosowej. Brzmiała jednoznacznie. „Jarek , o 22,48 strzelałem do dzika, jeśli możesz to przyjedź z Alim” Nim minęło sześć minut już jechałem moją Astrą w stronę rodzinnego domu analizując sytuację.

Do miejsca gdzie podejmę trop było ok. 110 kilometrów. Około 7,00 będę na miejscu. Dzik był strzelany ok. 23,00....decyzja – jadę!

Wpadam na posesję gdzie buduję swój własny dom, przez plot mieszkają moi rodzice i mieszka mój pies – posokowiec hanowerski Ali. Nazwany na cześć wielkiego sportowca Mohameda Ali. Bo wszystkie moje psy miały imiona pochodzące od wielkich ludzi sportu . Mój ojciec już czeka w pełnym rynsztunku, umówieni byliśmy na poranny podchód na owsiskach. Dziki robiły znaczne szkody w uprawach rolnych więc należało podjąć dzicze wyzwanie. Jego surowa , męska ,poorana zmarszczkami twarz była dla mnie niczym bezlitosny dogmat myśliwskiej wiary. „Jak musisz , to jedź. Na dzika pojedę sam” skwitował krótko i odwrócił się na pięcie. Wsiadł na rower i pojechał. Tylko jego Husqvarna w kalibrze 9,3x62 załśniła w gasnącym świetle gwiazd.Za chwilę zniknął w porannym mroku.

Zostałem sam z moją buzującą pasją...Ali polizał mnie po dłoni i znacząco popatrzył na samochód. Wiedział.

Jechaliśmy pustymi drogami w kierunku Miechowa. Ali spokojnie spał na wycieracze przed przednim fotelem. Jego piękny leb oparty był na fotelu i od czasu do czasu zerkał na mnie z podełba jak by z zapytaniem „ daleko jeszcze?” Myśli przebiegały przez moją głowę szybciej niż przydrożne drzewa za oknem. Czy sobie poradzę, jak sprawdzi się mój pies, jakie są warunki na miejscu? Dzwonię do mojego szefa, jednocześnie mojego kolegi. Opowiada iż w bardzo dobrej widoczności , przy pełni księżycy strzelał do przelatka , jednego z licznej watahy która nieoczekiwanie zawitała na pole owsa pod amboną na której siedział. Dziki uciekły do lasu , farby nie ma, odległość ok.40m , kaliber 30-06. Strzelec dobry, zrównoważony...

Czas płynie bardzo powoli, droga dłuży się niesłychanie, zakręty zdają się prostować pod kołami samochodu, tylko Ali pomrukuje ze złością że musi łapać równowagę podczas szybkiej jazdy... Nareszcie uścisk dłoni na powitanie.

Paweł na zimno tłumaczy sytuację. Za chwilę jedziemy do łowiska. Świta...

Kiedy szybkim krokiem idziemy na miejsce strzału budzi się przyroda. Ptaki zaczynają się odzywać w lesie, nocny chłód powoli ustępuje, światło zaczyna górować nad mrokiem. Emocje rosną nieuchronnie niczym nadchodzący świt. Po pięćdziesięciu minutowym marszu jesteśmy na miejscu.

I tu – szok.

Ogromne pole owsa jest wdeptane przez dziki w czarną i tłustą glebę. Smród chlewni unosi się w powietrzu niczym dym kadzidła w pogańskiej świątyni. „ Dramat, myślę rozgorączkowany, jak pies sobie poradzi skoro ja czuję dziki?”

Ale idę twardo. Odkładam psa trzydzieści metrów od zestrzału i idziemy szukać farby.

Słoma jest poukładana na ziemi niczym parkiet na Wawelu. Nic nie widać. Szukamy czterdzieści minut i nic.

Nie ma scinki i nie ma farby. Jest gorzej niż myślałem...Pocieszam się tym iż Paweł to dobry strzelec, na ogół był skuteczny jak trzeci zawał serca...

Wracam po psa. Prowadzę go na miejsce gdzie był strzelany dzik.

Ali kręci się nerwowo, ogon zdradza jego uczucia a mądre bursztynowe oczy mówią wszystko. Posadzony komendą – czeka.

Bardzo powoli rozwijam długi, dwunastometrowy otok, zrobiony dla mnie przez mojego przyjaciela Leszka Ciupisa. Piękna, skórzana obroża z wytłoczonym napisem „Schwarcarbait” spoczywa na owsianej słomie niczym aureola nadana przez kapłana na dzieci przyrody połączone odwiecznym sakramentem – łowiectwem. Ali czeka.

Z namaszczeniem zapinam obroże na czerwonym, umięśnionym karku posokowca. Między palcami wyczuwam skórzany otok, który niczym aorta dostarcza mi emocje nad którymi muszę zapanować. Przecież to ja decyduję w tej sytuacji. Wypowiadam sakramentalne „Szukaj trop” i wszystko się zaczyna.

Ali nerwowo węszy dolnym wiatrem. Zaczyna zataczać kręgi na całej długości otoku. Kręcę się w kółko niczym bąk napędzany adrenaliną.. W pewnym momencie, ku mojemu przerażeniu, Ali zaczyna iść w kierunku pól, nie w kierunku lasu gdzie uciekły strzelane dziki. Zaczynam tropienie. Pies bada swoim cudownym organem każdą roślinę, każdy pył na którym mógłby być choć cień zapachu niewidocznego dla człowieka... Farby ani kropli.

„Jarek, dziki poszły do lasu” – krzyczy Paweł.

„Wiem, ale pies mówi coś innego” - odpowiadam, choć sam w to nie wierzę.



Ali idzie pewnie, w szczerze pola.

Ja podpięty pod otok, niczym narkoman pod igłę dostarczającą zabójczy narkotyk, idę za nim.

Mijamy kolejne pola przecinając je poprzecznie. Nagle na wysokim po uszy życie dostrzegam farbę. Wysoko, na wysokości moich ud. Jest dobrze...

Za chwilę wychodzimy na ogromne pole ziemniaków. Na zielonym kobiercu z lęków kartofli leży dzik. Ali jest już przy nim. Otok napięty do granic możliwości...Słyszę basowy, tubalny głos mojego czworonożnego druha nad zwierzem. Ali ogłasza światu swoje zwycięstwo.

Tego co czułem nie da się opisać. Była to mieszanina triumfu i miłości do zwierząt. Do psów.

Byłem szczęśliwy.

Nadchodzi Paweł i z niedowierzaniem patrzy na popielatego w letniej szacie przelatka.

Oglądamy z ciekawością bok zwierza szukając wlotu kuli. Okazuje się że dzik został trafiony na wysoką komorę, pocisk Noslera nie grzybkował, lecz precyzyjnie przeszył się między żebrami robiąc niewielkie szkody.

Strzał był śmiertelny, ale zwierzę poszedł ok. 350m.

Tak oto zaczęła się moja wielka przygoda z moim Czerwonym Psem.